

# KAPUCYNI i MISJE



Biuletyn Misyjny Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej ISSN 1642-8897, rok 2019, nr specjalny



*Błogosławieństwo czystej wody*





# Kochani Przyjaciele Misji Kapucyńskich!

**K**olejny raz spotykamy się z Wami podczas Niedziel Misyjnych w Waszych parafiach. Zawsze chętnie słuchacie misjonarzy kapucyńskich, którzy choć w małym zarysie pragną Wam przybliżyć życie, pracę ewangelizacyjną i socjalną wśród plemion zamieszkujących środek Afryki. Wiadomo, że nawet w 20 minutowym kazaniu nie są w stanie opowiedzieć o świecie dla nas tak mało znanym, dlatego zachęcam do lektury niniejszego Biuletynu, który poszerza wiedzę o misjach.

W Republice Środkowoafrykańskiej i Czadzie pracuje dwunastu braci kapucynów z Prowincji Krakowskiej. Każdy z nich przeżył różne ciekawe sytuacje i ma o czym opowiadać. Niektórzy z nich dzielą się z nami w tym numerze opowieściami o swojej pracy i troskach codziennych. W artykule brata Piotra Walochoy (22 lat na misjach) p.t. „Daj mi pić”, powraca problem braku dostępu tysięcy ludzi Afryki do czystej i zdrowej wody pitnej. Brat Piotr dokonuje ciekawego spostrzeżenia. Przez te lata pobytu w Afryce zauważa pewien rozwój w komunikacji telefonicznej, internetowej, transporcie, handlu, itd. jednakże ciągle jeszcze nie rozwiązano najbardziej podstawowego problemu, aby wszyscy mieszkańcy mieli dostęp do czystej wody pitnej. To pokazuje, że nikt jeszcze nie wpadł na pomysł sprzedawania wody, tak jak to się robi z każdym produktem żywnościowym np. cukrem czy solą. A może ryzyko zainwestowania w studnię głębinową, która nie przynosiłaby zysku, bo ludzie nie są przyzwyczajeni płacić za wodę jest zbyt duże? Ludzie są też tak bardzo biedni, że zamiast kupować wodę woleliby czy też byliby zmuszeni wrócić do czerpania jej z brudnych strumyków i zagłębień? Wiele jest też pewnie innych znaków zapytania w tej kwestii,

które mają wpływ na tę tragiczną sytuację. Brat Robert Wieczorek (25 lat na misjach) dość obszernie i z wielką swadą przedstawia swoje doświadczenia pomocy osobom niepełnosprawnym. Z opisu tych przypadków można dojść do wniosku, że pomoc takim osobom wcale nie jest łatwa i nie zawsze kończy się happy endem.

Plac zabaw dla dzieci w Bam prowadzony przez brata Pawła Kubiaka (4 lata na misjach) cały czas się rozwija. Ma on też pomysły na zainstalowanie nowych urządzeń. Przez zabawę i gry zespołowe uczy chłopców i dziewczęta funkcjonowania we wspólnocie i przełamuje konwenanse kulturowe, o czym możecie przeczytać w jego wypowiedzi. O jubileuszu 125 lat ewangelizacji ziem aktualnej Republiki Środkowoafrykańskiej przypomina nam br. Andrzej Barszcz (18 lat na misjach). Z perspektywy czasu można dostrzec wiele dobra uczynionego przez tysiące misjonarzy dla ludności tego kraju. Wiele się zmieniło na tej ziemi dzięki sianej Ewangelii, jednak wiele jeszcze zostało do zrobienia. Najtrudniej przychodzi zmiany mentalnościowe i zwyczajowe. Osobiście wracam do wspomnień z jubileuszu setnej rocznicy ewangelizacji RSA obchodzonego w 1994. Przeżywałem go pracując w parafii Ngaoundaye. Ile było wtedy radości i wdzięczności Bogu za pierwszych wysłanych przez Niego misjonarzy. Przy okazji tegorocznego jubileuszu dziękujemy Bogu za misjonarzy aktualnie tam pracujących i prosimy o nowe powołania misyjne oraz powołania rodzime z plemion tubylczych, bo słowa Jezusa są zawsze aktualne: „Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało. Proście więc Pana żniwa, żeby wyprawił robotników na swoje żniwo” Mt 9, 37 – 38.

br. Jerzy Steliga, sekretarz misyjny



# Boże, dziękuję!

pisze br. Paweł Kubiak z Bam w Republice Czadu

**„B**oże, dziękuję. Ja w tym uczestniczę!” – tymi słowami kończyłem artykuł „Aniele Boży, Stróżu mój...”, zamieszczony w wakacyjnym Biuletynie Misyjnym w ubiegłym roku, i słowa te nadal są aktualne. Wciąż dziękuję Panu Bogu, że jestem na misji w Afryce i mogę wiernie trwać tutaj i dokonywać dzieł miłosierdzia.

Dzisiaj, gdy piszę te słowa, mamy 10 maja 2019 r. Po siedmiu miesiącach pory suchej, od tygodnia zaczęło nareszcie u nas padać – rozpoczęła się pora deszczowa. Co nowego słysząc w naszej rzeczywistości afrykańskiej? Zakończyliśmy rekolekcje wielkopostne, które odbywały się w czterech turach po trzy dni. 43 wioski należące do naszej parafii podzielił na cztery sektory. W okresie wielkanocnym ponad 450 dorosłym osobom udzielił sakramentu Chrztu świętego. Przystąpili oni również do pierwszej Komunii świętej. W tych dniach w parafii trwa wizytacja kanoniczna biskupa Rosario Ramolo. Przez cztery dni ksiądz biskup odwiedza wyznaczone wioski, gdzie zbierają się katolicy z kilku wspólnot. W programie takiego spotkania jest Msza święta, rozmowa z biskupem, wspólny posiłek, tańce i śpiewy. Spotkanie rozpoczyna się około godziny ósmej i kończy wieczorem około osiemnastej.



Codziennie o piętnastej odmawiam z dziećmi Koronkę do Bożego Miłosierdzia. Po Koronce w poniedziałki, środy i piątki jest katecheza sakramentalna dla dzieci. W pozostałe dni tygodnia czynny jest plac zabaw. W Polsce place zabaw dla dzieci są powszechne. A w Czadzie tylko w stolicy (600 km stąd) widziałem jeden plac zabaw dla dzieci. W zabawach na placu uczestniczy ok. 100-160 dzieci. Przy tak dużej ilości uczestników niewystarczający okazał się plac do jeżdżenia rowerami i boisko do piłki nożnej. Potrzebne było zorganizowanie nowych aktywności, dlatego postanowiliśmy wybudować boisko

do koszykówki. Dzisiaj możemy się pochwalić wieloma możliwościami uprawiania różnych form sportu. Mamy 29 rowerów, w tym dwa dla niepełnosprawnych, boisko do piłki nożnej, boisko do koszykówki, 3 huštawki, badmintona i skakanki. To, co mnie cieszy, to radość tych dzieci. Często dzieci przychodzą na Koronkę za wcześnie, bo już o czternastej. Nie mają zegarków i przez to moja sjesta poobiednia niestety jest krótsza! Część z nich przybiega bezpośrednio na plac zabaw. Czasem obserwuję, jak dzieci wracające z pola, gdzie ciężko pracują przy uprawach roślin, rzucają wszystko na ziemię, aby jak najszybciej znaleźć się na placu zabaw.

Starsze dzieci pomagają młodszym w nauce jazdy na rowerze. Coraz częściej też zauważam, że chłopcy grają w piłkę nożną i koszykówkę razem z dziewczętami. Normalnie jest to niespotykane, gdyż trzeba pamiętać, że w Czadzie jest inna kultura i mentalność niż w Europie: mężczyźni przebywają z mężczyznami, kobiety z kobietami i małymi dziećmi. Nawet mąż z żoną nie jedzą wspólnie posiłków; jeśli się to zdarzy, to tylko w obecności misjonarza, który na to nalega. W regulaminie placu zabaw niedziela jest dniem dla dziewcząt, tzn. dziewczęta mają pierwszeństwo gry w piłkę. Kiedy wprowadziłem tę zasadę, dziewczęta bardzo się ucieszyły, a chłopcy wyrazili swoją dezaprobatę. Próbowali na własną rękę zmienić tę zasadę, ale czujne oko prowadzącego zajęcia skorygowało ich samowolkę. Kiedy dziewczęta grają między sobą, to szybciej się uczą i poznają zasady gry. Chłopcy obserwują ich poczynania i niektórzy z uznaniem przyznają, że gra zaczyna im wychodzić.

Chciałbym jeszcze zaaranżować 2 lub 3 jeżdźalnie plastikowe (blacha nie wchodzi w grę ze względu na wysokie temperatury, dochodzące do 40-42 stopni w cieniu) oraz drabinki i coś do wspinania na nieduże wysokości. Przydałyby się także piaskownice. Po półtora roku funkcjonowania placu zaobserwowałem, że zaczyna się tworzyć grupa osób, która się wspólnie modli i bawi, co jest czymś wyjątkowym w tych kręgach kulturowych. Dla dzieci z wioski ważne jest poznawanie nowych form zabawy, tworzenie wspólnoty, doświadczenie wspólnej modlitwy. Nikogo nie powinno dziwić, że przez wspólną zabawę dzieci uczą się współdziałania w grupie i zachodzą zmiany w ich relacjach osobistych.

Dziękuję wszystkim naszym ofiarodawcom, którzy przez swoją modlitwę, cierpienie, pamięć oraz wsparcie finansowe pomagali i pomagają nam trwać tutaj i dokonywać dzieł miłosierdzia. Codziennie modlimy się za nasze Dobrodziejki i Dobrodziejów.





**W** czwartym rozdziale Ewangelii św. Jana mamy opis spotkania Jezusa z kobietą z Samarii, które miało miejsce koło południa przy studni. Jezus, zmęczony wędrówką, prosi Samarytanę: „Daj mi pić”. Kobieta jest zdziwiona: jak ten obcy człowiek z narodu żydowskiego może prosić ją, Samarytanę, o wodę? Znamy dobrze dalszy ciąg tej pięknej rozmowy między Jezusem a kobietą.

A group of children and adults are gathered outdoors in a rural setting. Several children are holding large metal pots, likely for water collection. The children are dressed in simple, colorful clothing. The background shows a dry, open landscape with some vegetation.

Dwa lata temu, kiedy po raz pierwszy pojechałem do wioski Nya-Kadounga w naszej parafii Baibokoum, przed Mszą świętą rozmawiałem z szefem wioski i zapytałem go, jak im się żyje. W odpowiedzi usłyszałem, że najważniejszym problem jest brak wody. Dowiedziałem się, że kobiety z wioski każdego dnia muszą maszerować 6 km w jedną stronę z miską na głowie, aby zaczerpnąć wody w rzece Logone. Czyli na dzień dobry mają 12 km w nogach z dużym ciężarem na głowie... Muszą wstawać o 3 rano, aby mieć wodę w domu do mycia i śniadania, zanim wstaną domownicy.

A group of approximately 12 children and two adults are gathered on a dirt path in a rural, wooded area. In the center, a manual water pump is mounted on a wooden cart with large, treaded wheels. Several children are interacting with the pump. To the left, a woman in an orange shirt carries a blue plastic bucket on her head. To the right, a woman in a pink and white striped shirt and a purple patterned skirt carries a white plastic bucket on her head. The children are dressed in casual clothing, including t-shirts and shorts. The background consists of dense green foliage and trees.











# Życie pełne niespodzianek

pisze br. Robert Wieczorek z Ndim w RŚA

Po trzech latach systematycznej zorganizowanej pomocy niepełnosprawnym z terenu mojej parafii uzbierało się parę historii, którymi chciałbym się podzielić.

Na początku tego roku posłałem do naszego szpitala MNDP (Dom Matki Bożej Pokoju) w Moundou w Czadzie dwóch chorych chłopców z wioski Hang Zoung. Szpital MNDP to placówka prowadzona przez naszych współbraci kapucynów, specjalizująca się w operacjach ortopedycznych, leczeniu osób dotkniętych kalectwem, rehabilitacji oraz produkcji protez. Dwa razy w roku przyjeżdża do szpitala tzw. misja chirurgiczna z Europy Zachodniej, czyli lekarze różnych specjalności, którzy przez trzy tygodnie konsultują i operują chorych.

Jednym z chłopców, którzy pojechali do szpitala, był Rosin. Miał na nodze rozległą bliznę po oparzeniu, która w procesie gojenia zrosła się częściowo ze ścięgnami, więc chłopak poważnie kulął, nie mówiąc już o bólu, który odczuwał przy każdym ruchu. Towarzyszyła mu matka, Eliza, lat nieco ponad 30, którą znałem już wcześniej, bo angażowała się w życie Kościoła. Wyszła za mąż w sąsiedniej wiosce Zole, ale Rosin jest jej wcześniejszym – jak to się u nas mówi, nieślubnym – dzieckiem (rzecz umowna, bo z obecnym „oficjalnym” mężem też jest bez ślubu kościelnego, czyli nadal nie w porządku). Obecny „tata” dzieciaka nie akceptuje, bo nie jest jego synem i w dodatku jest kulawy. Różnice zdań między małżonkami skończyły się pobiciem kobiety. Na parę tygodni Eliza wzięła więc sobie urlop od agresywnego partnera i pojechała leczyć syna. Cenię u niej to, że nie szczędzi wysiłków, by pomóc chłopakowi, i jako jedna z pierwszych dokonała wymaganej, symbolicznej wpłaty na leczenie dziecka.

Drugim chłopakiem jest Koffi – to już prawie dorosły mężczyzna. Od dzieciństwa miał problem z podwijającą się stopą, co doprowadziło do tego, że po latach zaczął stąpać na jej wierzchu, a palce skierowane ma w stronę kostki drugiej stopy. Wygląda to szpetnie, a chłopak, chodząc w ten sposób, sam sobie niejako „podkłada nogę”. W dodatku od dawna jest sierotą (rodziców zmiołła pierwsza fala AIDS) i wychowuje go babcia Anna, wdowa. Żywy i bystry wnuk sprawia jej coraz więcej problemów, ale podstawowym kłopotem jest porzucenie ich dwójki przez resztę dalszej rodziny. Babcia zorganizowała się wreszcie, by po 3 latach przygotowań i oszczędzania wpłacić „wpisowe” za operację dla Koffiego.

Jest pełnia pory suchej. Suche powietrze i kurz drażniący w gardle. Podczas dnia niemiłosiernie piekące

słońce, a wieczorem i nocą – odczuwalny chłód. Droga do Moundou w Czadzie jest długa (230 km), a do tego Pierre, mój szofer-mechanik, którego tym razem posłałem w podróż z chorymi, próbował zaoszczędzić sobie formalności; w efekcie został odesłany z granicy kameruńsko-czadyjskiej i musiał wracać do Republiki Środkowoafrykańskiej, żeby naprawić swoje zaniedbania. Koniec końców podróżujący spotkali się z czekającym na nich po drugiej stronie rzeki granicznej br. Zenkiem Kapką dopiero późnym popołudniem, po pokonaniu raptem jednej czwartej drogi. W Czadzie drogi są nieporównywalnie lepsze niż w RŚA, więc można jechać szybciej. Dotarli do celu, ale późno w nocy i bardzo wymęczeni.

Tymczasem kilka dni po ich wyjeździe w ich rodzinnej wiosce Hang Zoung zaczęła się parafialna agapa, czyli forma wielkiego świątecznego spotkania-rekolekcji. Zeszło się ponad tysiąc osób z innych wiosek – niewralgiczny moment w całorocznym duszpasterstwie. Tego samego wieczoru dostajemy wiadomość przesłaną do Ndim, że zmarła jedna z kobiet, które pojechały do Mo-



undou. Strzępy urywanej rozmowy telefonicznej i logika każą się domyślać, że chodzi o leciwą już Annę, babcię Koffiego.

Na miejscu w Moundou są moi bracia kapucyni oraz katechista z Ndim, Pascal, który w tej samej podróży towarzyszył swej córce Judycie (planowano wymienić jej stabilizatory w nogach po przebytej chorobie Heinego-Medina). Byłem więc spokojny, że odpowiednio zajmą się pogrzebem. Tragiczna wiadomość o śmierci dotarła też pocztą pantoflową do rodziny, stąd równocześnie do naszego zgromadzenia zorganizowano nieopodal „placę ti kwa” – stypę, która po śmierci kobiety tradycyjnie ma trwać 4 dni.



Idąc za radą starszych Kościoła, odprawiłem naza jutrz rano Mszę świętą o spójność duszy babci Anny. Znając ją wcześniej, mogłem uczciwie powiedzieć kilka ciepłych słów na temat tej dzielnej wdowy, stawiającej czoła trudnościom codziennego życia. A z relacji jej koleżanek z Legionu Maryi dowiedzieliśmy się, że Anna podobno przeczuwała swe odejście i kazała im nie martwić się, jeżeli ją pochowają gdzieś daleko od stron ojczystych...

Po żałobnej Mszy świętej wróciłem do Ndim, gdzie udało mi się wreszcie nawiązać przyzwoite połączenie telefoniczne ze szpitalem MNDP w Moundou. Chodziło mi głównie o to, by prosić o pochowanie zmarłej tam na miejscu, bo nawet nie chcę myśleć, ile by nas kosztowało pracy (i pieniędzy) sprowadzanie zwłok z zagranicy do rodzinnej wioski zmarłej. W niektórych regionach Afryki są to sprawy najwyższej wagi i nie da się przekonać rodziny, aby pochować zmarłego gdzieś indziej. Rozmawiam z br. Antoinem, kapucynem i szefem szpitala, po francusku i uszom nie wierzę! Każę sobie powtórzyć jeszcze raz to samo w sango przez Pascala, który był tam obok: oplakaliśmy babcię Annę, a tu tymczasem zmarła Eliza – ta trzydziestolatka, mama Rosina! A babcia Anna żyje! Co mam teraz powiedzieć – i jak – lu-

dziom w Hang Zoung? Co powiedzieć obu rodzinom? Czy powinienem jednym powiedzieć: „Przestańcie płakać!”, a drugim: „Wy teraz zacznijcie, bo to nie Anna, ale Eliza umarła!”?

Trudna sytuacja. Wracam czym prędzej do Hang Zoung, zwołuję starszyznę Kościoła, szefów wioski i opowiadam co się naprawdę wydarzyło. Un vrai faut pas! Prawdziwa wpadka! Ustaliliśmy, że część starszyzny pójdzie poinformować rodzinę Anny, że ta żyje, a inni udadzą się do krewnych Elizy, którzy też są na agape, by im oznajmić, jak się sprawy mają w rzeczywistości. Konsternacja jest totalna, płacz przenosi się z jednego miejsca na drugie... Jeszcze tego samego popołudnia pojechałem w towarzystwie katechistów do wioski Zole, do rodziny Elizy, by odprawić tym razem Mszę świętą o spójność duszy prawdziwie nam zmarłej. Rodzina staje na wysokości zadania. Rodzice są zszokowani, ale oddają nagłą śmierć córki w ręce Boga i proszą o Eucharystię. Na Mszy świętej widzę „kopię” Elizy, jej siostrę bliźniaczkę... Dobrze, że wszystko udało się jakoś w spokoju przeprowadzić. A mogło być gorąco.

Co się właściwie stało? Eliza dotarła do Moundou całkiem wyczerpana. Wymiotowała parę razy po drodze i dopiero post factum skojarzono, że to mogły być skutki niedawnego pobicia przez męża. Jakies wewnętrzne urazy, krwotok... Kobięcie bardzo zależało na dobru syna, więc wybrała się w drogę, ukrywając jednak fakt, że sama cierpi.

Moi bracia z Moundou i katechista Pascal wraz z chrześcijanami z tamtejszej parafii pochowali Elizę w Czadzie – daleko od domu, ale godnie. Tymczasem wdowiec – „damski bokser” znalazł się w poważnych opałach. Nie trzeba być uczonym, by powiązać przedwczesną śmierć młodej kobiety z przemocą fizyczną, której doznała ze strony męża. Do tego jeszcze doszło niewywiązanie się przez mężczyznę z obowiązku: mąż nie zapłacił „dotu” za żonę (w Afryce tradycyjnie to mężczyzna obdarowuje teściów, a nie kobieta wnosi wiano). Teoretycznie powinno się te sprawy uregulować przed ślubem, ale najczęściej mężczyźni biorą sobie żony „na próbę” i tak trwają latami, zwlekając z uregulowaniem powinności. Teściowie okazują przy tym dużo cierpliwości (chodzi im przecież o dobro córki, a nie tylko o napełnienie kiesy), ale biada ci, jeśli kobieta umrze wcześniej. Wtedy po jej pogrzebie (jeśli mąż go przeżyje!) wyduszą z niego „dotu” co do grosza. Najczęściej więc tacy „niewypłaceni” wdowcy starają się zniknąć z horyzontu, jeśli tylko jest na to czas. To nie przelewki, bo inaczej czeka ich lincz. A tym bardziej takich, którzy – jak mąż Elizy – jawnie przyczynili się do jej śmierci.

Parę dni po Mszy *requiem* przychodzi do mnie na misję dwóch nieznanych mi wcześniej mężczyzn – od razu widać, że ojciec z synem – i... padają mi do nóg! „Co jest?”, pytam, podnosząc ich z kolan. Okazuje się, że to mąż i teść Elizy. Protestanci, ale przyszli mi podziękować za Eucharystię, bo dzięki tej modlitwie, apelowi o przebaczenie i zaakceptowanie Bożych zrządeń katolicka



strona w żalobie odpuściła winowajcy, rezygnując z powszechnie akceptowanego w takiej sytuacji samosądu. Mają jedynie z czasem spłacić to, co się rodzicom Elizy należało, i ojciec wdowca gorliwie zapewnił, że na pewno to zrobią.

A z babcią Anną spotkaliśmy się dopiero w sierpniu, po dobrych sześciu miesiącach od jej wyjazdu. Przez ten czas miała na głowie opiekę nad własnym wnukiem, a ponadto nad osieroconym na jej oczach Rosinem. Wróciła do domu z Koffim, któremu naprostowano stopę. Trzeba było widzieć powitanie, jakie im zgotowano w wiosce! Zapytałem ją później, co myśli o odprawieniu Mszy świętej za spokój jej duszy i o stypie, jaką już na jej pamiątkę rozpoczęto. „A, nie szkodzi”, odparła. „Przynajmniej za życia mogłam dowiedzieć się paru miłych rzeczy na swój temat”. Mieszkańcy wioski opowiedzieli jej bowiem o moim kazaniu...

Koffi był podekscytowany, opowiadając o swym pobycie w Moundou. Wyrobił się nieco we francuskim, bo tam w *sango* mówili tylko bracia kapucyni, a w jego języku *pana* już nikt. Z konieczności musiał się porozumiewać po francusku. Chwalił się, że w czasie leczenia i rekonwalescencji umożliwiono mu dostęp do komputera i przeszedł małe przeszkolenie w informatyce. „Mo-



undou to wielkie miasto”, opowiadał, „i bardzo gorąco. Wszędzie jest asfalt na drogach i niewiele drzew. Nie widać, tak jak u nas, jaka jest pora roku, bo nawet trawy tam nie chcą rosnąć!” Bardzo się przy tym cieszył z powrotu do swojej wioski. Umówiliśmy się, że teraz na nowo podejmie naukę, aby skończyć gimnazjum. Wciąż miał na nodze opatrunkę, którą miały mu zmieniać siostry pracujące w ośrodku zdrowia.

Po dwóch miesiącach siostry zasygnalizowały mi, że Koffi przestał przychodzić do ośrodka. Do szkoły też się nie zapisał. Odnalazłem go we wsi – rana była ciągle nie zagojona. Koffi siedział w przydrożnym butik z my-

dłem i papierosami, bo z czegoś przecież trzeba żyć... Objechałem go z góry na dół za to, że chce zniszczyć kosztowną robotę, którą chirurdzy wykonali, żeby ratować jego nogę. Obiecał poprawę i wizyty w ośrodku.

Wracając do domu, zastanawiałem się nad czytana właśnie w ostatnią niedzielę Ewangelią o ślepcu Bartymeuszu. Ten, na wezwanie Jezusa, zerwał się, zrzucił płaszcz i pobiegł (niewidomy!) w stronę głosu Jezusa. A co by było, gdyby się nie zerwał? Nie zrzucił tego łaucha z grzbietu? Iluż jest takich „dotkniętych przez los”, którzy w ostatecznym rachunku wolą powiedzieć: „Zostawcie mnie w spokoju. Przyzwyczaiłem się do mego losu. Nauczyłem z tym żyć. Moje kalectwo to mój sposób na życie! Dotąd przecież ludzie mnie wspierali, a teraz, zdrowy, gdzie znajdę środki do samodzielnego życia?” Może Koffi, mimo dobrej woli, wciąż wewnątrz jest „kulawy” i w głębi serca nie chce porzucić statusu osoby niepełnosprawnej, zależnej od innych?

Konsultacje poszczególnych przypadków przeprowadzone w szpitalu MNDP w Moundou pozwoliły mi odkryć istnienie wspólnego mianownika dla różnego rodzaju niedowładów czy zwyrodnień powstałych w wieku dziecięcym. Historie ludzkie były do siebie dość podobne: dziecko urodziło się zdrowe, ale w pewnym okresie zaczęło chorować, rodzice leczyli je więc, jak mogli. Byli m.in. w wioskowym ośrodku zdrowia, tam przepisano im serię zastrzyków, po których dziecko zaczęło kuleć. Przyczyną kalectwa były więc zastrzyki, źle podawane przez niekompetentnych, niedouczone pielęgniarki.

Tak było w przypadku Koffiego. I tak jest u Alaina. Cierpi on na tak znaczny zanik rzepki w kolanie, że kiedy się porusza, noga w miejscu kolana wygina mu się w przeciwną stronę. Z kolei 17-letnia Antida utraciła prawie cały staw biodrowy prawej nogi – to również efekt źle podanych zastrzyków. Kość udowa ma się jeszcze na czym oprzeć, ale jej stan stale się pogarsza. Obserwując chód dziewczyny, ma się wrażenie, jakby jedną nogę miała 20 centymetrów krótszą. To oczywiście złudzenie: nogi są tej samej długości, ale jedna „chowa się” w biodrze. Bez interwencji ortopedy za parę lat Antida całkiem utraci zdolność samodzielnego poruszania się. Na razie otrzymała coś w rodzaju stabilizatora, ale bez operacji się nie obędzie.

Zdarzyło się, że mniej więcej w jednym czasie dwie paroletnie dziewczynki zachorowały na zapalenie opon mózgowych. Jedna to córka katechisty, druga to wnuczka naszej byłej kucharki, której mama uczyła się i zdała nawet maturę. Obydwie chore dziewczynki bardzo późno trafiły do ośrodka zdrowia. Rodziny tłumaczyły: „Nginza a yeke pepe”, czyli: „Nie ma pieniędzy”. To stała wymówka. Z obawy przed wydatkami chorych trzyma się w domu, póki się da, a gdy jest już bardzo źle, zanoszą ich „na śmierć” do szpitala...

Katechista i kucharka – kiedy sprawa w końcu dotarła do moich uszu i zrobiłem im awanturę – posłuchali i zanieśli dzieci do szpitala. Seria antybiotyków i... zeszytyniałe dziecko może iść do domu. Katechista dał się

przekonać, że małą trzeba zawieźć do Bocaranga, do s. Weroniki – na rehabilitację. To długotrwały proces wymagający systematycznej pracy i cierpliwości. Jednak wyjazd do Bocaranga to dla rodziny problem, bo w domu fura dzieci, a w polu czeka robota. Jednak rodzina się organizuje. Dziecko płacze, kiedy go „męczą” podczas rehabilitacji, nie chce ćwiczyć, boi się – łatwo się zniechęca i rodzice chcą zdezerterować. Ale wytrwali i dziś dziewczynka biega, nosi różne przedmioty, choć można podpatrzyć, że ma tendencję do podkurczania ręki czy powłóczenia nogą...

W przypadku drugiej dziewczynki zachęcam matkę i babcię kucharkę, by również pojechały z dzieckiem do s. Weroniki. Rozmawiałem z mamą, która przyjechała z miasta na wieść o chorobie córki (niestety, tak jak często się tu zdarza, urodziła ją, mając 16 lat, a teraz podrzuciła babci na wychowanie, bo sama myśli o dalszej nauce...). Myślałem, że światła, wykształcona mama chorej dziewczynki jeszcze dodatkowo przekona babcię. A tu dowiaduję się, że nawet 10 dni rehabilitacji nie minęło, jak zabrały dziecko, a o rzucenie nań choroby oskarżyły żonę sąsiada! Posądzona o czary kobieta sama jest w ciąży. Spędziła parę dni na żandarmerii, stróżowie prawa pobili ją, żeby się

przyznała. Mąż jej płakał u mnie jak dziecko, prosząc o interwencję. Na żandarmerii dowiaduję się, że przecież wszystko jest w porządku: mama chorej dziewczynki, maturzystka, przedstawiła pięknie po francusku opisane oskarżenie, więc oni, żandarmi, reagują zgodnie z protokołem. W Polsce w połowie XVIII wieku sejm zdecydował, że nie wolno podejmować oskarżeń o czary. Tutaj ta wiara ciągle kwitnie i ma się jak najlepiej. Po gwałtownej i głośnej rozmowie ze „światłą” maturzystką oskarżona o czary sąsiadka wyszła na wolność. Ale co przeżyła ona i cała jej rodzina – to tylko Pan Bóg wie.

A przecież wszyscy ci ludzie to moi katolicy! Urządziłem potem dla tych dwóch zwaśnionych rodzin Mszę świętą o pojednanie między nimi. Nie obyło się bez łez – przebaczenie to uwolnienie. Niestety, główna poszkodowana, dziewczynka po zapaleniu opon, nie powróciła już do zdrowia. Mama zajęła się swoimi sprawami w mieście, a córka wegetuje, zamknięta w domu swojej babci. A zaczynała już chodzić do szkoły!

Niestety, nie wszystkie historie kończą się happy endem. Ważne, żeby być blisko – pomagać, przekonywać, pokazywać inne możliwości. Nie wszyscy posłuchają. Ale czy u nas w Polsce jest inaczej?

## Zdecyduj się i pomóż!

### SEKRETARIAT MISYJNY Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

opiekuje się misjonarzami pracującymi  
na kontynencie afrykańskim  
w Republice Środkowoafrykańskiej  
i Republice Czadu.

### Wspieraj misje swoją modlitwą, pracą i ofiarą.

Sekretariat Misyjny Kapucynów  
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków  
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

### FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy  
humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom  
potrzebującym w krajach afrykańskich,  
w których pracują misjonarze z Zakonu  
Braci Mniejszych Kapucynów.

### Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje  
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków  
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934  
www.fundacja.kapucyni.pl



11% KRS: 0000356850

### Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.  
Do użytku wewnętrznego Kościoła.  
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara  
na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

### Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16  
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132  
e-mail: misje@kapucyni.pl  
www.misje.kapucyni.pl

### Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFM Cap (red. naczelny)  
Diana Bonowicz,  
Nakład: 4800 egz.

### Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65





# CARDINALE Massaia

KAWA MIELONA  
I ZIARNISTA

Pijąc kawę  
**Massaia**  
pomagasz  
misjonarzom kapucynom  
w Afryce.

Dochód ze sprzedaży kawy jest  
w całości przekazywany na misje  
w Republice Środkowoafrykańskiej  
i Republice Czadu.

Kawa Cardinale Massaia: mielona lub ziarnista  
jest dostępna w sklepie internetowym  
[www.sklep.kapucyni.pl](http://www.sklep.kapucyni.pl).

Zamówienia przyjmujemy również telefonicznie  
pod nr: 12 623 60 50, wew. 132 lub 668 532 250,  
oraz listownie pod adresem:  
Fundacja Kapucyni i Misje, ul. Korzeniaka 16,  
30-298 Kraków.

Wpłaty za kawę prosimy kierować na konto:  
33 1240 4533 1111 0010 4887 1511

